



DODATEK SPECJALNY CZĘŚĆ II

Zbrodnie niemieckie

- Intelligenzaktion 1939, zagałda elit
- Generalplan Ost, eksterminacja narodu
- Krew i łzy Zamojszczyzny
- Powstanie '44 i rzeź Woli



Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości,
którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

Organizatorzy:

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

Spis treści

72-74

INTELLIGENZAKTION: ZAGŁADA ELIT

Maciej Rosalak

Gauleiter zawołał: „Musimy tych zawszonych Polaków wytępić, pozaczawszy od kołyski!”. Tłum Niemców odpowiedział rykiem: „Niech zginą polskie psy!”

75-77

NA DNIE PIEKŁA

Piotr Włoczyk i Stanisław Zalewski

Niektórzy więźniowie mówili nawet, że chętnie by wrócili z Gusen II do Auschwitz, i to nawet na kolanach, jeżeli ktoś dałby im wtedy wybór

78-79

WYKONAWCA GENERALPLAN OST

Tomasz Stańczyk

Głównym realizatorem planów eksterminacji naszego narodu w Generalnym Gubernatorstwie został SS-Obergruppenführer Friedrich Krüger

80-82

PACYFIKACJA ZAMOJSZCZYNY 1942/1943

Piotr Zychowicz

Wysiedlenia spowodowały zniszczenie regionu i nieopisane cierpienia polskiej ludności – samych dzieci Niemcy zamordowali 10 tys.

83-85

MĘCZEŃSTWO WARSZAWY

Maciej Rosalak

Niemcy pędzili warszawiaków wraz z dziećmi przed czołgami i palili żywcem. Mordowali jeńców i cywili, gwałcili kobiety...

REDAKCJA:

Redaktor: **Maciej Rosalak**

Z ZESPOŁEM:

Studio graficzne:

Wojciech Niedziello (grafik prowadzący),

Jakub Tański (grafik),

Jacek Nadratowski (DTP)

Fotoedycja: **Edyta Bortnowska,**

Przemysław Traczyk

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**

Okładka: **NAC**



Hitler odprawia kolumnę Wehrmachtu na wojnę z Polską

FOT. BUNDESARCHIV BILD



Generalplan Ost oraz Endlösung der Judenfrage



Obydwa upiorne, największe ludobójcze plany hitlerowskich Niemiec zrodziły się w chorych umysłach przywódców hitlerowskich w 1941 r. Sukcesy na froncie wojny z ZSRS wydawały się im wtedy ukoronowaniem podboju całej Europy, umożliwiającym zarówno zagospodarowanie „przestrzeni życiowej” (niem.: Lebensraum) na wschodzie, jak i zlikwidowanie „problemu żydowskiego” (niem. Judenfrage). U podstaw obu planów tkwiło przekonanie o wyższości rasowej Niemców, dającej im pełne prawo do wymordowania przynajmniej 100 mln ludzi: Słowian i Żydów, do których czuli chorobliwą nienawiść i pogardę.

Pierwszy z tych planów nazwali Generalnym Planem Wschód (niem. Generalplan Ost), który miał zapewnić im Lebensraum kosztem narodów mieszkających na wschód od granic III Rzeszy do Uralu i od jeziora Ładoga na północy do Morza Czarnego na południu. Zgodnie z tym zamierzeniem mieli zniknąć stamtąd (czytaj: stracić życie od razu bądź na Syberii) wszyscy Żydzi, 80–85 proc. Polaków, 50 proc. Czechów, 65 proc. Ukraińców, 75 proc. Białorusinów oraz bliżej nieokreślona część Rosjan i Tatarów. Słowian, którzy pozostaliby na swych dawnych terenach, zamieniono by w niewykształconych, posłusznym „niemieckim panom” niewolników.

Drugi plan zakładał śmierć wszystkich Żydów, co miało raz na zawsze stanowić ostateczne rozwiązanie problemu żydowskiego (niem. Endlösung der Judenfrage). Masowe egzekucje setek tysięcy osób pochodzenia żydowskiego na zdobywanych terenach Związku Sowieckiego, przeprowadzane już latem 1941 r., pozbawiały resztek złudzeń co do prawdziwych zamierzeń hitlerowców. Nie mamy wprawdzie oryginałów dokumentów mówiących o „ostatecznym rozwiązaniu”, ale znane fakty wskazują, że Zagładę zatwierdzono w styczniu 1942 r. na naradzie w Wannsee.

Generalplan Ost sformułowano nieco wcześniej, ale z oczywistych względów (większej liczby przeznaczonych do likwidacji) realizację odłożono na czas po zakończeniu wojny. Oryginały dokumentów też zaginęły, ale pozostały szczegółowe ich opisy. W naszym przypadku miano pozostać przy życiu od 3 mln do 4,8 mln polskich niewolników. Co z resztą, czyli przynajmniej z 20 mln Polaków – wiadomo. Warszawiaci – o czym wiemy od rodziców – mówili na widok getta palącego się wiosną 1943 r.: „Dziś Żydzi, jutro my...”. Latem następnego roku ci, którzy przeżyli, uchodzili wśród trupów i płomieni Woli...

Planowe mordy Polaków, wysyłanie do kacetów, wypędzenia i zesłania do niewolniczej pracy trwały już jesienią 1939 r., w trakcie Intelligenzaktion na terenach przyłączonych do Rzeszy oraz akcji „AB” i innych akcji niszczenia naszych elit na obszarze Generalnego Gubernatorstwa. Polski inteligent w rasistowskich założeniach hitlerowców, a następnie w ich konkretnych planach, zupełnie się nie mieścił, więc musiał zniknąć jako pierwszy. Takie przekonanie dominowało u obu okupantów od 1939 r. Nieprzypadkowo – o czym pisaliśmy przed tygodniem w dodatku poświęconym zbrodniom sowieckim – egzekucje dokonywane przez Niemców w Puszczy Kampinoskiej pod Warszawą trwały w tym samym czasie co egzekucje z rąk Rosjan w lesie katyńskim pod Smoleńskiem. ©©



Maciej Rosalak

Mordy Polaków na Pomorzu, Śląsku, w Poznańskim i w GG

Selbstschutz rozstrzeliwuje Polaków w lesie piaszczym, zwanym pomorskim Katyniem lub pomorskimi Palmirami FOT. WALDEMAR ENGLER/WIKIPEDIA

Szczególnie zbrodniczy gauleiter gdański Albert Forster wołał we wrześniu 1939 r.: „Musimy tych zawieszonych Polaków wytepić, poczynawszy od kołyski. W ręce wasze oddaję los Polaków, możecie z nimi robić, co chcecie!”. Niemiecki tłum odpowiedział rykiem: „Niech zginą polskie psy!”, „Śmierć Polakom!”.

Na okrzykach się nie kończyło. Mniejszość niemiecka na polskim Pomorzu, która wcześniej stanowiła piątą kolumnę, groźną dla państwa i Wojska Polskiego, teraz w znacznej mierze zamieniła się w krwiożerczych donosicieli i katów dla najlepszych, najbardziej znaczących w lokalnych społecznościach Polaków. Od początku wojny brała udział w mordowaniu polskich elit, dokładnie – jak to u Niemców – zaplanowanym przez władze III Rzeszy.

ORGANIZACJA MORDU

Akcję „Inteligencja” (niem. Intelligenzaktion) liczy się na ogół od wcielenia w drugiej połowie października 1939 r. Pomorza z Powiślem, Wielkopolski,

Zagłada polskich elit

Śląska, północnego Mazowsza i Łodzi do III Rzeszy. Mieszkało tam przed wojną 10 mln ludzi, w tym 9 mln Polaków. Niemcy nie stanowili nawet 10 proc. Zrabowanie polskich ziem połączone było z przejęciem przez władze administracyjne nadzoru nad ich „bezpieczeństwem”. Przedtem znajdowały się teoretycznie we władzy Wehrmachtu, ale rzeź Polaków urządziła tu głównie sześć morderczych

Einsatzgruppen SS w akcji o nazwie „Tannenberg”. Piszę „głównie”, bo Wehrmacht też rozstrzeliwał i wieszał bezbronnych cywili – na przykład w Kłecku koło Gniezna – lub pomagał policji, SS i gestapo. Mordowała też Selbstschutz złożona z tutejszych Niemców i volksdeutschów.

Działania te, dokładnie tak samo jak Intelligenzaktion, będąca kontynuacją „Tannenbergu” i wszelkich innych bestialstw

z początku wojny, miały źródło w planach najazdu niemieckiego na Polskę, sporządzanych już od 1934 r., od... podpisania z II RP deklaracji o niestosowaniu przemocy. Aneksja naszych terytoriów łączyła się z założeniem pozbycia się z nich polskich elit. Efektem było m.in. sporządzenie i wydrukowanie latem 1939 r. przez SD (służbę bezpieczeństwa SS) „specjalnej książki Polaków ściganych listem gończym” (niem. Sonderfahndungsbuch Polen).

Był to alfabetyczny zestaw zawierający ponad 61 tys. nazwisk Polaków zasłużonych dla swej ojczyzny, a więc niebezpiecznych – zdaniem SS – dla III Rzeszy. Tych, którzy mogli stworzyć warstwę przywódczą polskiej społeczności. Figurowali tam: urzędnicy państwowi, liderzy samorządów, ziemianie i przedsiębiorcy, uczeni i nauczyciele, oficerowie, prawnicy, działacze organizacji społecznych, księża, zakonnicy i zakonnice, harcerze, weterani walk o wolną Polskę... Tych, których „przeoczono” podczas sporządzania wykazu, dodawano skwapliwie po niemieckim najeździe, korzystając z usług gorliwych miejscowych Niemców, załatwiających niejednokrotnie osobiste porachunki i przejmujących mienie ujętych Polaków.

Listy „ściganych” były listami śmierci. Aż do kwietnia 1940 r. w ramach Intelligenzaktion schwytych mordowano (50 tys.) albo zsyłano do obozów koncentracyjnych (drugie 50 tys.), głównie do specjalnie w tym celu zbudowanego obozu w Stutthofie, do Hohenbruch i Mauthausen-Gusen. W ogromnej większości przypadków oznaczało to również śmierć. W ten sposób eksterminowano blisko 100 tys. osób należących do elity naszego narodu w Wielkopolsce, na Pomorzu i Śląsku, a także w Łodzi i na północnym Mazowszu. Poza wymordowaniem elit, kilkadziesiąt tysięcy Polaków zostało wtedy na roboty przymusowe do Niemiec, a sto kilkadziesiąt tysięcy wypędzono do Generalnego Gubernatorstwa. Ich majątek zrabowano. Do końca 1940 r. liczba polskich wypędzonych przekroczyła ćwierć miliona.

PIAŚNICA

Bezwzględnie – i proporcjonalnie – najwięcej podczas Intelligenzaktion zamordowano polskich Pomorzan: 23 tys., a – licząc z przywożonymi tu Żydami i Polakami z Niemiec – liczba ofiar egzekucji wyniosła może nawet 40 tys. Z pewnością tak wielka liczba łączy się z wyjątkowo zbrodniczym, antypolskim nastawieniem

Alberta Forstera, mianowanego namiestnikiem nowo utworzonego Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie. Greiser w Wielkopolsce czy Bracht na Górnym Śląsku – choć też zbrodniarze – dążyli jednak w większym stopniu do zgermanizowania niż eksterminacji mieszkańców. Polaków z Gdańska, Gdyni, Wejherowa, ze Starogardu czy z Pucka rozstrzeliwano głównie w lasach piasnickich koło Wejherowa, w Mniszku pod Świeciem, w Lesie Szpegawskim pod Starogardem. Od 1,2 tys. do 1,4 tys. Polaków rozstrzelano w fordońskiej dolinie śmierci u wrót Bydgoszczy. W chojnickiej dolinie śmierci dokonano egzekucji 2 tys. Polaków, a na Wzgórzach Morzewskich pod Chodzieżą – kilkudziesięciu.

Egzekucje w lasach piasnickich, zwanych pomorskimi Palmirami i Katyniem, okupanci starali się zachować w głębokiej tajemnicy. A jednak – dzięki świadectwom



Niemiecka gilotyna w poznańskim więzieniu, na której tracono ujętych patriotów polskich
FOT. ARCHIWUM

nielicznych miejscowych Polaków oraz powojennym zeznaniom Niemców – poznano ich wstrząsające okoliczności. Ofiary – mężczyźni, kobiety i dzieci – były traktowane z największą brutalnością. Przywożono je tu z więzień, zmuszano do rozbierania się do bielizny i klękania nad wykopanymi dołami śmierci, a następnie zabijano z broni maszynowej bądź strzałami w tył głowy. Odbywało się to zarówno za dnia, jak i nocą, przy świetle samochodowych reflektorów. Na zwłokach odkryto po wojnie ślady tortur. Dających oznaki życia dobijano często kolbami. Prawdopodobnie zdarzały się także przypadki grzebania rannych żywcem. Małe dzieci mordowano, rozbijając ich główki o drzewa;

makabryczne ślady odkrywano na pniach. Zapewne oszczędzano amunicję. Mordercy z SS dodawali sobie animuszu alkoholem; wśród zwłok w dołach znajdowano po wojnie wrzucone tam puste butelki. Ubrania ofiar skrupulatnie zbierano i odwożono do Wejherowa tymi samymi ciężarówkami, które wcześniej przywoziły nieszczęśników na miejsce kaźni. Przekazywano je – cóż za troska! – nazistowskiej opiece społecznej (Nationalsozialistische Volkswohlfahrt). 12 tys. Polaków straciło życie w lasach piasnickich...

Wśród tych setek Polaków zamordowanych w Piaśnicy, których udało się zidentyfikować, szczególnie liczną grupę stanowią osoby konsekrowane. W 1999 r. Jan Paweł II beatyfikował 108 polskich męczenników z czasu ostatniej wojny światowej. Była między nimi siostra Alicja Jadwiga Kotowska. Sanitariuszka podczas poprzedniej wojny oraz wojny bolszewickiej, a także uczestniczka Polskiej Organizacji Wojskowej, która w 1922 r. wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Zmartwychwstania Pańskiego. Inną ofiarą z Piaśnicy stał się ks. Anastazy Kręcki, który po ukończeniu studiów filozoficzno-teologicznych otrzymał w 1920 r. święcenia kapłańskie i był wikariuszem kolejno w Starogardzie Gdańskim i Tyłowie, a następnie proboszczem w Strzelnie, organizując także życie tamtejszej społeczności.

Witolda Krukowskiego Niemcy wpisali na czarną listę wrogów Rzeszy za ogromne zdolności i osiągnięcia na niwie gospodarczej i publicznej. W 1919 r. odkupił od Waltera von Schützego dobra ziemskie w Kolibkach, co spowodowało włączenie do terytorium polskiego majątku położonego na spornym obszarze styku Wolnego Miasta Gdańska i Polski. Najman-Mirza Kryczyński, tatarski historyk i prawnik, w wolnej Polsce pracował jako prawnik w Wilnie, Zamościu i Gdyni, był członkiem Polskiego Towarzystwa Orientalistycznego i założycielem Narodowego Muzeum Tatarskiego w Wilnie. Leon Wzorek – robotnik z Podkarpacia – podczas wojny działał w POW, a następnie został członkiem załogi ORP „Pomorzanie”, naszego pierwszego okrętu wojennego. Po odbyciu służby wojskowej objął inną służbę – latarnika w Rozewiu. Umieścił tam tablicę przypominającą pobyt tu Stefana Żeromskiego i napisanie przez niego „Wiatru od morza”.

OD FORTU VII DO GG

A oto straty, które ponieśliśmy w innych najbardziej rdzennych dzielnicach



Dowódcy SS, kaci naszego narodu. Od lewej: Albert Forster, Arthur Greiser, Erich von dem Bach-Zelewski, Franz Hacker, Wilhelm Koppe FOT.NAC

Polski, przyłączonych do III Rzeszy Niemieckiej podczas Intelligenzaktion.

Eksterminacja polskiej inteligencji w Wielkopolsce – wcielonej do Rzeszy jako Kraj Warty (niem. Warthegau) – zaczęła się od razu po wkroczeniu Niemców we wrześniu 1939 r. Publiczne egzekucje miejscowych elit (niemal 300 ofiar) urządzono m.in. w Śremie, Książu, Kórniku, Środzie, Kostrzynie, Gostyniu, Ponięcu, Krobi, Kościanie, Śmiglu, Lesznie, Osieczynie, we Włoszczakowicach... Najbardziej ponurą sławę zyskał Fort VII cytadeli poznańskiej, gdzie podczas Intelligenzaktion zamordowano 2 tys. Polaków, w tym najbardziej wybitnych obywateli (a do końca niemieckiej okupacji – 20 tys.).

Śmierć ponieśli tu m.in.: Stefan Cybichowski – inżynier architekt i radny miasta Poznania; Mściśław Frankowski – powstaniec wielkopolski, działacz Narodowej Organizacji Bojowej; Stanisław Kalandyk – fizyk, profesor Uniwersytetu Poznańskiego; Mikołaj Kiedacz – prawnik, prezydent Poznania; Roman Konkiewicz – lekarz, uczestnik powstania wielkopolskiego, wieloletni prezes Zarządu Wojewódzkiego Polskiego Związku Zachodniego; Czesław Michałowicz – ksiądz, długoletni sekretarz generalny Związku Katolickiego Robotników Polskich w Poznaniu; Wincenty Nowaczyński – pułkownik Wojska Polskiego; Stanisław Pawłowski – geograf o światowym rozgłosie i ogromnym dorobku naukowym, profesor Uniwersytetu Poznańskiego, członek PAU, wiceprezes poznańskiego oddziału Ligi Morskiej i Kolonialnej; Leon Prauziński – malarz i powstaniec, autor obrazów i grafik upamiętniających czyny powstańców wielkopolskich; Celestyn Rydlewski

– lekarz, uczestnik konferencji pokojowej z Niemcami w Paryżu (1919), członek międzynarodowej komisji granicznej w sprawie ustalenia granic Polski z Wolnym Miastem Gdańskiem...

Na Górnym Śląsku wymordowano w trakcie Intelligenzaktion 2 tys. Polaków. Było wśród nich wielu byłych powstańców śląskich, działaczy plebiscytowych, dziennikarzy, polityków, intelektualistów, urzędników oraz duchownych. Ci, którzy walczyli przyczynili się do przyłączenia górnośląskich terenów do Polski, nie mogli liczyć na litość.

Należał do nich m.in. Kazimierz Kierzkowski, legionista, major Wojska Polskiego, który w 1920 r. przygotowywał ostatnie, decydujące powstanie śląskie. Jeszcze trwały walki kampanii wrześniowej, gdy w Krakowie założył Organizację Orła Białego. W latach 1940–1941 był szefem Biura Informacji i Propagandy Komendy Obszaru ZWZ Kraków-Górny Śląsk.

Na Mazowszu północnym – które przyłączono do Prus Wschodnich jako rejencję ciechanowską – Intelligenzaktion pochłonęła około 6,7 tys. ofiar, głównie spośród elit lokalnych Ostrołęki, Wyszkowa, Ciechanowa, Wysokich Mazowieckich, Łomży i okolic tych miast. Rozstrzeliwano wyjątkowo licznych urzędników, nauczycieli i duchownych, a także Żydów, aby jak najszybciej zniemczyć ten teren. Krwawe rządy sprawował tu gauleiter wschodniopruski Erich Koch, wyjątkowo zbrodniczy funkcjonariusz reżimu hitlerowskiego.

Intelligenzaktion Litzmannstadt (tak przemianowano Łódź przyłączoną do III Rzeszy) rozpoczęła się pod koniec pierwszej dekady listopada 1939 r. Aresztowano wtedy setki osób spośród

kręgów polskiej inteligencji łódzkiej oraz pobliskich miejscowości, takich jak Pabianice, Konstancinów Łódzki, Brzeziny czy Zgierz. Osadzono ich w obozie przejściowym w fabryce Michała Glazera na Radogoszczu, a następnie dokonano selekcji, w której wyniku pół tysiąca z nich rozstrzelano w pobliskich lasach lućmierskich. Egzekucje trwały do wiosny 1940 r. Pochłonęły 1,5 tys. ofiar. Następnie do więzienia na Radogoszczu zaczęto przywozić młodych polskich mężczyzn, a nawet chłopców, których aresztowano w maju 1940 r. Trafili oni najpierw do KL Dachau, a następnie do Mauthausen-Gusen, skąd nieliczni wyszli żywi. Wreszcie w następnym roku ujęto 175 duchownych z diecezji łódzkiej, których nie aresztowano wcześniej, i wysłano do Dachau. Czterdziestu już nie wróciło...

Oczywiście traciliśmy nasze elity nie tylko za ziemiach przyłączonych do Rzeszy. Poza mordami podczas działań wojennych i takimi egzekucjami odwetowymi jak w Wawrze Niemcy zorganizowali między majem a lipcem 1940 r. w Generalnym Gubernatorstwie akcję „AB” (Außerordentliche Befriedungsaktion), stanowiącą kontynuację Intelligenzaktion. W ramach akcji „AB” zamordowali co najmniej 6,5 tys. Polaków, w tym 3,5 tys. przedstawicieli polskiej elit. Do historii przeszły przede wszystkim masowe egzekucje w Palmirach pod Warszawą.

Identyczne z Intelligenzaktion były akcje specjalne (Sonderaktion). Były to dwie Sonderaktion Krakau, kiedy m.in. aresztowano i zesłano do obozów koncentracyjnych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, Sonderaktion Lublin, której ofiarami padli przede wszystkim duchowni i profesorowie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, i Sonderaktion Tschenschostchau. W listopadzie 1939 r., po nieudanym zamachu stolarza Geорга Elsera na Hitlera w Monachium (z którym Polacy nie mieli absolutnie nic wspólnego), Niemcy urządzili Sonderaktion Bürgerbräukeller, podczas której aresztowano w całym GG kilkuset inteligentów. Każdy pretekst dobry...

Pamiętajmy – o czym pisaliśmy przed tygodniem – że zagładzie polskich elit z rąk niemieckich towarzyszyła równie okrutna zagłada elit z rąk sowieckich. Odbiło się to na kondycji kolejnych generacji naszego społeczeństwa. Skutki widać do dziś...



Na dnie piekła

Brama KL Auschwitz z cynicznym napisem „Arbeit macht frei” (Praca czyni wolnym) – symbol hitlerowskiego ludobójstwa

FOT. ARCHIWUM



Ze Stanisławem Zalewskim, więźniem niemieckich obozów koncentracyjnych rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Był pan więziony w Auschwitz, Mauthausen, Gusen I i Gusen II. Gdzie było najstraszniej?

STANISŁAW ZALEWSKI: O ile obóz Gusen I zwany był przedsionkiem piekła, o tyle Gusen II był uważany za dno piekła. To dosyć powszechna opinia więźniów, którą również ja podzielałem. Oba obozy były po sąsiedzku, ale Gusen II było wtedy najgorszym miejscem na Ziemi.

Zwykle to jednak o Auschwitz mówi się jako o „piekle” na ziemi...

Niektórzy więźniowie mówili nawet, że chętnie by wrócili z Gusen II do Auschwitz, i to nawet na kolanach, jeżeli ktoś dałby im wtedy wybór. Należę do tej grupy, a to z powodu potwornego reżimu, zagęszczenia więźniów, znęcania się nad nimi. Gusen II był obozem najcięższej, III kategorii, wprowadzono tam najgorszych zwyrodniałców spośród kapo. Nasze zmiany w podziemnej

fabryce samolotów Bergkristall trwały po 12 godzin, gdy tymczasem w Gusen I zmiany były krótsze i było tam dużo bliżej do zakładów produkcyjnych. Więźniowie Gusen I mieli więc dużo więcej czasu na odpoczynek.

Jak długo więziony był pan w obozach Mauthausen, Gusen I i Gusen II?

Dokładnie 545 dni. W Mauthausen, które było obozem matką zespołu obozów Mauthausen-Gusen, pojawiłem się 6 listopada 1943 r. Po dwóch dniach „pobytu” w tym obozie i kąpieli na świeżym powietrzu dostaliśmy kalesony, cienkie koszule, trepy i pognani zostaliśmy pięć kilometrów dalej do Gusen I. Tam czekały mnie dwa tygodnie „kwarantanny”. Było to noszenie kamieni z kamieniołomu do młyna – do kruszenia. Kto był słaby, ten padał pod ciężarem kamieni, a kapo dobijał takiego człowieka kijami. Tak wyglądała

selekcja więźniów. Co ciekawe, na terenie byłego obozu Gusen I do dziś działa zakład kamieniarski...

Sami mogliście wybierać kamienie?

Na szczęście tak. Cała sztuka polegała na tym, żeby brać na barki taki głaz, który był płaski, ale duży pod względem powierzchni. Kiedy się przechodziło obok nadzorca, trzeba się było ugiąć pod jego ciężarem. Tak wyglądała taktyka przetrwania.

I nadzorca dawali się tak oszukiwać?

Różnie to bywało. Jeżeli według ich uznania kamień był jednak za mały, to więzień dostawał kijem. Mnie udało się jednak uniknąć bicia w ciągu tych dwóch tygodni. Po odbyciu kwarantanny przydzielony zostałem do komanda transportowego.

Ta szrama na pańskiej twarzy to „pamiątka” właśnie z tamtych czasów?

Mam ją od czasu uwięzienia w Gusen I. W komandzie transportowym zdejmowaliśmy maszyny z wagonów i na wózku ciągnęliśmy je do hali produkcyjnej Messerschmitta. Produkowano tam – jak się później dowiedziałem – elementy do

■ rakiet balistycznych V1 i V2. Któregoś dnia po drodze skombinowaliśmy kilka ziemniaków, które następnie wsadziłem do pieca w hali fabrycznej.

Idąc po ziemniaki, musiałem przejść obok stolika, przy którym siedzieli dwóch SS-manów nadzorujących pracę na hali. Doskonale wiedziałem, że należało przy nich iść krokiem defiladowym i zdjąć czapkę. Wszystko zrobiłem, jak trzeba, ale zostałem zatrzymany: powiedzieli mi, że przejście było nieregulaminowe. Musiałem zawrócić. Podczas drugiego podejścia potknąłem się jednak o celowo wysuniętą nogę SS-mana... Usłyszałem złowieszcze: „Halt!”. SS-man podszedł do mnie i uderzył mnie pięścią w głowę. Zachwiałem się, ale nie upadłem.

I to był zapewne błąd...

Niestety tak. Doskoczył do mnie drugi SS-man i jak mnie strzelił w twarz... Padłem jak długi. Od uderzenia zrobił mi się potem ropień, bo nie było tego czym opatrzyć. Stąd ta szrama na policzku. Może to głupie, ale leżąc wtedy na podłodze, myślałem przede wszystkim o tych ziemniakach.

Gorzej niż z twarzą było u mnie z nogą. Z niedożywienia zrobiła mi się na niej flegmona. Ta rana gniła i miałem do wyboru: albo nic z tym nie zrobić, cierpieć i w konsekwencji stać się niezdolnym do pracy, albo pójść do szpitala obozowego, co również zakrawało na samobójstwo. Ostatecznie jednak postanowiłem iść do szpitala, czyli na tzw. rewir. Już od progu spotkało mnie zdziwienie – sztabowy,



Do niemieckiego obozu trafiały liczne dzieci odebrane wcześniej rodzicom bądź sieroty po nich FOT. WIKIPEDIA

odpowiadający za połowę szpitalnego baraku, okazał się warszawiakiem z Pragi! Powiedział, że przy Żąbkowskiej jego rodzice mieli cukiernię. Znałem to miejsce, bo mama wysyłała mnie tam po ciastka. Proszę sobie wyobrazić, że dostałem od niego oddzielną pryczę, choć zazwyczaj na jednej pryczy leżało kilku chorych. Jakby tego było mało, ta prycza stała obok piecyka! Ale to jeszcze nie wszystko – sztabowy powiedział personelowi, żeby traktowali mnie dobrze i żeby zadbali o moją ranę. Dostawałem dzięki temu nieokrojone posiłki, czyste ubranie...

Czyli w całym tym piekle trafił pan na normalnego człowieka.

No właśnie nie do końca. Ten sztabowy na moich oczach nocami uderzał kijem

w głowę ludzi idących do ubikacji, którzy ślaniali się, bo byli zbyt wycieńczeni, żeby iść o własnych siłach. Kiedy taki człowiek dogorywał, sztabowy ze swoimi ludźmi wieszał go na rzemyku na kłamce. Potrafił tak zabić w ciągu nocy kilka osób. Ja oczywiście udawałem wtedy, że śpię. Nawet udawałem, że chrapię, bo bałem się, że mnie zabije, jeżeli zobaczy, iż wszystko widziałem. Długo się potem zastanawiałem, jak z syna porządnego człowieka mógł wyrosnąć taki morderca?

Za co trafił pan do tego piekła? Przecież nie miał pan jeszcze skończonych 18 lat, gdy został pan aresztowany.

12 września 1943 r. wyszedłem z domu na zbiórkę z kolegami z AK. Czasem odbywaliśmy ćwiczenia z bronią, ale głównie działaliśmy w tzw. małym sabotażu. Na podwórku spotkałem wtedy mamę. „Dokąd idziesz, Stachu?” – spytała mnie. A ja odpowiedziałem jej tak niefrasobliwie: „Do widzenia, mammo! Nie wróć aż za dwa lata! Aż się wojna skończy”. Pamiętam to, bo to była nasza ostatnia rozmowa w życiu...

Zostałem aresztowany kilka godzin później, gdy z kolegą Stefanem Jamrozikiem malowaliśmy na jednej z praskich ulic kotwicę i napis: „Pawiak pomścimy”.

Czyli za malowanie „Pawiak pomścimy” trafił pan na Pawiak...

Tak wyszło... Zza węgła wyszedł niespodziewanie patrol żandarmerii. Najpierw przewieźli nas na al. Szucha. Dostaliśmy tam od razu lanie. Potem był Pawiak, gdzie znęcano się nad nami psychicznie. Wieczorami głośno wywoływali nazwiska więźniów przeznaczonych do rozstrzelania, a następnie słyhać było terkot karabinu. Robili to wszystko specjalnie głośno, żeby nas terroryzować.

Niemieckie obozy koncentracyjne na ziemiach polskich

W 1939 r. powstał pierwszy obóz koncentracyjny dla obywateli polskich – Stutthof, założony już 2 września 1939 r. w Sztutowie (wtedy na terenie Prus Wschodnich). Pracą ponad siły, głodem, biciem i mordowaniem zgładzono w nim kilkadziesiąt tysięcy ludzi – w większości Polaków.

Najbardziej znane obozy koncentracyjne zakładane przez Niemców na ziemiach polskich dzieliły się na obozy pracy i zagłady, np. Auschwitz I w Oświęcimiu i Auschwitz II w Brzezince (Auschwitz-Birkenau), gdzie jednych ludzi niszczone głodem i pracą, a innych zagazowywano natychmiast po przybyciu, a także wyłącznie na obozy zagłady.

KL Auschwitz powstał w 1940 r., a pierwsze transporty trafiły tu w czerwcu (z Tarnowa) oraz w sierpniu i we wrześniu (z Warszawy). Przywieziono Polaków. Potem trafiali tu ludzie z całej Europy. Od 1942 r. masowo zagazowywano Żydów i Cyganów, ale też jeńców sowieckich i Polaków. Ogólną liczbę ofiar szacuje się na blisko 2 mln. Podobne były obozy na Majdanku pod Lublinem i w Rogoźnie (Gross-Rosen) na niemieckim wtedy Dolnym Śląsku.

Do obozów zagłady należały: Bełżec, Chełmno, Sobibór i Treblinka. Łącznie we wszystkich obozach zamordowano większość spośród 3 mln Żydów polskich.

Obywatele polscy trafiali oczywiście również do innych obozów niemieckich, np. do Dachau, gdzie skierowano wielu duchownych, do Bergen-Belsen czy Ravensbrück, gdzie zesłano około 40 tys. Polek. Za najstraszniejszy uważano zespół obozów w Mauthausen-Gusen (wstrząsająco pisał o nim m.in. Stanisław Grzesiuk w „Pięciu latach kacetu”). (m.r.)

Po latach sprawdziłem, że mój transport – 5 października 1943 r. – był największym transportem z Pawiaka do Auschwitz: w sumie było to około 1,5 tys. mężczyzn i kobiet. Wszyscy nazywają te pociągi bydłecy, ale to nieprawda. Gdyby to były pociągi bydłecy, to mielibyśmy luksus, bo mielibyśmy przynajmniej otwory wentylacyjne. A to był pociąg towarowy, szczelnie zabity. Kiedy dojechaliśmy do Auschwitz, wielu ludzi z naszego wagonu trzeba było wynieść – zmarli bowiem w czasie podróży. W Auschwitz spędziłem 31 dni.

Co w panu zostało z tego obozu?

Na przykład krzyki kobiet, które rozbięto publicznie i ciężarówką wywożono do komór gazowych. Krzyczały, bo wiedziały, że zaraz zginą. Nie da się tego zapomnieć.

Nasz barak usytuowany był tak, że widać było rampę kolejową. Któregoś dnia podjechały tam pullmany – to były bardzo luksusowe wagony. Wyszli z nich pięknie ubrani ludzie. To byli Żydzi z Holandii albo z Belgii. Otrzepywali z siebie kurz, który oblepiał ich po zejściu na rampę. Szli potem spokojnie za jednym SS-manem prosto do komór gazowych. To był jedyny taki widok, bo generalnie nie miałem wtedy czasu rozglądać się po okolicy – cały czas pracowałem przy rozbudowie obozu. Musiałem taszczyć worki cementu, a te ważyły 50 kg. Wtedy jeszcze na szczęście nie byłem tak wycieńczony, jeszcze miałem siłę nosić takie ciężary.

Na jakiego kapo trafił pan w Auschwitz?

Mój kapo darł się na nas przy SS-manach i bił nas – lekko – w ich obecności. Kiedy już jednak byliśmy sami, był w stosunku do nas w porządku. Ja chyba jestem dzieckiem szczęścia, bo nieraz trafiłem na takich ludzi. W Auschwitz dostałem numer 156 569. Po miesiącu zabrali mnie do Austrii.

Często nachodziły pana w czasie tych 545 dni w Mauthausen, Gusen I i Gusen II myśli, żeby ze sobą skończyć?

Może to trochę dziwne na tle wspomnień innych byłych więźniów obozów koncentracyjnych, ale ja nigdy nie przeżyłem tam kompletnego załamania. Wielokrotnie wmawiałem sobie, że muszę wrócić do rodziny. Nigdy nie miałem myśli, żeby np. rzucić się na druty.

W Gusen I cały czas pracował pan w komandzie transportowym?

Nie. Po jakimś czasie zostałem skierowany do produkcji. W Gusen I wydrążone były w zboczu góry korytarze, gdzie mieściły się oddziały produkcyjne. Pracowałem przy produkcji jakiegoś elementu samolotu albo rakiety balistycznej.

Nie było możliwości robić tego byle jak. Efekty mojej pracy kontrolowali przecież inni więźniowie. Taki kontroler patrzył, czy każde złącze nitowe było prawidłowo wykonane. Oni sami brali odpowiedzialność za jakość produkcji. Dlatego nawet mowy nie było o sabotowaniu produkcji.



Skrainie wyczerpani więźniowie KL Mauthausen-Gusen tuż po wyzwoleniu przez Amerykanów
FOT. WIKIPEDIA

W obozach więzieni byli nie tylko więźniowie polityczni, lecz także ci, którzy trafili tam z powodów stricte religijnych. Spotkał pan tam takich ludzi?

Tak. W Gusen I poznałem więźnia z fioletowym trójkątem (polityczni mieli naszyte czerwone trójkąty). Był to Niemiec, którego zesłano tam za odmowę służby wojskowej. Był to najprawdopodobniej świadek Jehowy. Na samym początku powiedział, że wiara nie pozwala mu brać udziału w produkcji broni. SS-man kazał go za to wyprowadzić na rozstrzelanie. Ten chłopak szedł na egzekucję spokojnie, odwrócił się do nas, żeby się pożegnać. Za chwilę usłyszeliśmy huk wystrzałów. Do końca zmiany pracowaliśmy w głuchym milczeniu...

Pamiętam też, jak u pewnego więźnia znaleziono różaniec. SS-mani skatowali

go i przed śmiercią zmusili do połknięcia ziarenek różańca.

Kiedy skończyła się harówka?

Pracowaliśmy do 2 maja, czyli aż do dnia upadku Berlina. SS-mani, uciekając, wzięli ze sobą całe zapasy żywności. Tym sposobem od 2 do 5 maja mieliśmy prawdziwą głodówkę – nie było już kompletnie nic do jedzenia. To wtedy widziałem, jak więźniowie kładli się na ziemi i jedli trawę.

Jak wyglądało Gusen II 5 maja 1945 r.?

Pod obóz podjechały dwa amerykańskie samochody bojowe. Jeden żołnierz amerykański wszedł do nas i – po polsku – powiedział: „Jesteście wolni!”

Do samego końca pilnowali nas jacyś dziadkowie z miejscowych służb porządkowych. Amerykanie zabrali im broń, rzucili ją na kupę, podpalili i pojechali do Gusen I. Więźniowie od razu jednak ugasiли ogień. Mam wrażenie, że Amerykanie dobrze wiedzieli, że ta broń się nie spali – chyba dali nam w ten sposób prawo do odwetu.

Dzisiaj niemal nie ma śladu po Gusen I. Co pan sobie myśli, gdy pan patrzy na bramę wjazdową do obozu przerobioną na willę w stylu śródziemnomorskim, w której mieszka jakiś milioner?

Brama to nie wszystko. Barak, w którym żyłem, został po wojnie zamieniony w pieczarkarnię. Z kolei plac apelowy zawalony został gruzem. Oczywiście szlag mnie trafia, gdy to widzę. Najgorzej było w 1986 r., gdy pojawiłem się tam po raz pierwszy od końca wojny. Bardzo mnie poruszył widok osiedla wybudowanego w miejscu, gdzie stały baraki...

Wciąż można uratować plac apelowy i zrobić tam miejsce pamięci, ale większość obozu jest już nie do uratowania. Błąd popełniono wiele lat temu, sprzedając teren obozowy prywatnym ludziom, którzy pobudowali tam domy. Teraz przecież już nie można im zabrać domów...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Stanisław Zalewski

(ur. 1925) – jest przewodniczącym Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. W latach 1943–1945 był więźniem w Auschwitz, Mauthausen, Gusen I i Gusen II.

Pierwszy z lewej – Hans Frank. Pierwszy z prawej – Friedrich Krüger – podczas kolejnej hitlerowskiej uroczystości w Generalnym Gubernatorstwie

FOT. NAC



Wykonawca Generalplan Ost



Tomasz Stańczyk

Głównym realizatorem planów eksterminacji naszego narodu w Generalnym Gubernatorstwie został SS-Obergruppenführer Friedrich Krüger

Reichsführer Heinrich Himmler mianował go 4 października 1939 r. wyższym dowódcą policji i SS w tworzącym się GG. Posiadał on bowiem wszelkie cechy potrzebne do realizowania nadzwyczaj brutalnej, terrorystycznej polityki niemieckiej w Polsce. Historyk Czesław Madajczyk oceniał, że Krüger był człowiekiem miernym, tępym, niesamodzielnym i ślepo posłusznym. Właśnie osobnik o takich cechach był jednak potrzebny Reichsführerowi SS. Brał udział w I wojnie światowej i został wówczas odznaczony dwukrotnie Żelaznym Krzyżem. Po wojnie był między innymi prywatnym przedsiębiorcą. W 1929 r. wstąpił do

NSDAP, w 1931 r. do SS i SA. Po dojściu Hitlera do władzy został posłem do Reichstagu.

POLSKI INTELIGENT NA CELOWNIKU

Mocnym akcentem rozpoczynającym zbrodniczą działalność Krügera była akcja „AB”. W jej ramach rozstrzeliwano, między innymi w podwarszawskich Palmirach, polskich przywódców politycznych (wśród nich byli Maciej Rataj i Mieczysław Niedziałkowski) i inne osoby znane w życiu publicznym. Tutaj stracił życie złoty medalista z Los Angeles – Janusz Kusociński. Krüger troszczył się o swoich podwładnych, przypominając ich bezpośrednim przełożonym, by zgodnie z zaleceniem Himmlera katom „po egzekucji podawano dla odwrócenia uwagi intelektualnie wartościowe treści”.

W chwili rozpoczęcia wojny ze Związkiem Sowieckim Krüger polecił dowódcy policji i bezpieczeństwa w Generalnym Gubernatorstwie Eberhardtowi Schöngarthowi rozpocząć nowe „akcje przeciw inteligencji”. W pierwszych dniach okupacji niemieckiej we Lwowie zamordowano 25 polskich profesorów wyższych uczelni. Holender Pieter Menten został oficjalnie

przyjęty przez Schöngartha do komanda do zadań specjalnych i korzystał z przywileju rabowania własności zamordowanych profesorów.

Sprawa Mentena, kolekcjonera i handlarza dzieł sztuki, przypomina, że niemiecka okupacja w Polsce miała także oblicze rabunkowe. Polskie obrazy, rzeźby, zabytkowe meble i książki są do dziś w niemieckich domach i muzeach, gdzie znajdują się zabytki z urzędowego rabunku. Republika Federalna Niemiec dotąd ich nie zwróciła.

Krüger lojalnie bronił wykonywanych przez siebie rozkazów Himmlera, choć na posiedzeniach rządu Generalnego Gubernatorstwa musiał przyznawać, że przynosiły one negatywne skutki. Himmler uważał, że bezrobotni i elementy „aspołeczne” stanowią doskonałą bazę rekrutacyjną dla „bandytów”, czyli polskiego podziemia zbrojnego. Zarządził więc łapanek i ich zsyłkę do obozów Auschwitz, na Majdanku i do obozów w Rzeszy.

NOWE RUGI PRUSKIE

Kolejnym pomysłem Himmlera było wysiedlenie Polaków z Zamojszczyzny i osiedlanie na ich miejscu Niemców. Himmler, planując tę akcję i wprowadza-

dzając ją od listopada 1942 r. w życie rękoma Krügera, faktycznie nie liczył się z Frankiem, który był zmuszony zaakceptować plany Reichsführera. Oczywiście, obaj zgadzali się co do tego, że Generalne Gubernatorstwo będzie zgermanizowane. Frank nie chciał jednak działać radykalnie i natychmiast, podczas wojny. Był bardziej zainteresowany realizowaniem gospodarczej eksploatacji ziem polskich i zaopatrywaniem Niemiec ich kosztem. W swoim rozporządzeniu Krüger przeznaczył część rozporządanej ludności na zgermanizowanie, część „mało wartościową” miała znaleźć się w obozach koncentracyjnych. Co ciekawe, rozporządzenie mówiło o niestosowaniu brutalnych środków przy wysiedlaniu. Praktyka była dokładnie odwrotna.

Wysiedlenia na Zamojszczyźnie spowodowały spotęgowanie się wrogich nastrojów społeczeństwa polskiego i zbrojne akcje oddziałów AK i BCH, palenie przez nich wsi, gdzie sprowadzono kolonistów niemieckich, niszczenie urzędów gminnych, spadek produkcji rolnej w dystrykcie lubelskim. Sam wyższy dowódca SS i policji musiał krytycznie ocenić akcję na Zamojszczyźnie: „Następstwa tego posunięcia – gospodarcze, polityczne i inne – były po części bardzo niepomysłne”. Upierał się jednak, broniąc stanowisko Himmlera, że sprawy wysiedlenia Polaków i osiedlenia Niemców nie można było odłożyć na czas po wojnie.

6 maja 1943 r. na pierwszej stronie „Biuletynu Informacyjnego” Armii Krajowej ukazał się komunikat Kierownictwa Walki Cywilnej: „W odwet za swą zbrodniczą działalność w Polsce, a w szczególności za ostatnie skazanie na śmierć 70 niewinnych Polaków, obwieszczone zarządzeniem z 12 lutego 43 r. – szef policji Krüger zgładzony został dn. 20 kwietnia 1943 r. o godz. 9.50”.

Niestety, nie była to prawda: przeprowadzony 20 kwietnia przez przybyły z Warszawy oddział AK „Kosa” zamach nie powiódł się. Szef policji i SS został tylko ranny lub ledwie kontuzjowany.

Mimo że zamach się nie udał i tak zrobił duże wrażenie na Niemcach, potwierdzając, że nawet najwyżsi przedstawiciele niemieckich władz nie mogą czuć się bezpiecznie w okupowanej Polsce.

„Biuletyn Informacyjny” pisał o Krügerze: „Była to prawa ręka Himmlera na Polskę, był to apostoł terroru przeciw polskiego, był to inspirator niemal wszystkich wielkich zbrodni popełnionych w ostatnich czasach na polskości

przez władze niemieckie. On także ponosi odpowiedzialność za akcję »AB«, polegającą na fizycznej eliminacji polskiej elity, bestialską w swym przebiegu akcją wysiedleńczą na Zamojszczyźnie oraz za potworności likwidacji Żydów”.

Do tej listy trzeba dodać także: łapanie na przymusowe roboty w Niemczech, ściąganie kontyngentów od chłopów oraz zwalczanie czarnego rynku, w tym przemycania żywności ze wsi do wyłudzonych miast.

Z GG DO WAFEN-SS

20 kwietnia 1943 r. podczas posiedzenia rządu Generalnego Gubernatorstwa SS-Brigadeführer Schöngarth wyraził przekonanie, że chyba wszyscy obecni są pod wrażeniem mnożących się zamachów na Niemców, w tym dokonanego tego dnia zamachu na Krügera. Nie proponował jednak



Zamordowani w 1943 r. polscy chłopcy i ich niemieccy mordercy. FOT. WIKIPEDIA

odwetu. „Niemiecka administracja powinna unikać wszelkiej niepotrzebnej brutalności wobec Polaków, gdyż na przemoc stosowaną przez jedną stronę druga zazwyczaj odpowiada brutalnością”. Zauważył, że Polacy stanowią bezcenny potencjał wojenny i jeśli Niemcy będą kontynuować dotychczasową politykę wobec nich, doprowadzi to nieuchronnie do klęski.

Także Krüger w końcu uświadomił sobie konieczność zmiany postępowania wobec Polaków. Przynajmniej tych pracujących w gospodarce wojennej i przemysle zbrojeniowym. Przyznając, że nie otrzymują nawet tej żywności, która im się należy – a kalorycznie była ona dużo poniżej norm – i do tego dostają praktycznie

tylko chleb i kartofle, postulował poprawę zaopatrzenia. Argumentował, że bez niej polska siła robocza nie będzie miała wartości, a wydajność pracy zmaleje.

3 sierpnia 1943 r. Hans Frank nazwał w rozmowie z Erichem von dem Bachem-Zelewskim „katastrofą” sytuację, która wytworzyła się na skutek przesiedleń na Zamojszczyźnie. Jego rozmówca, który za rok będzie tłumił powstanie warszawskie, zgodził się z tą opinią. Dwa dni później został odwołany Odilo Globocnik, dowódca SS i policji w dystrykcie lubelskim. W październiku Himmler odwołał Krügera, powierzając mu dowództwo dywizji Waffen-SS. Jak twierdził, potrzebował doświadczonego żołnierza. Tymczasem Krüger był jedynie porucznikiem z czasów I wojny światowej. Na zakończenie swego urzędowania Krüger wydał zarządzenie, że osoby niebędące Niemcami mogą ko-

rzystać z publicznych środków transportu tylko na podstawie urzędowego zezwolenia na podróż.

Hans Frank, który przez cztery lata użerał się z wyższym dowódcą SS i policji, żegnając go, nie szczędził komplementów. Nazwał nawet Krügera współtwórcą Generalnego Gubernatorstwa. Dał przy okazji popis obłudy, mówiąc, że ciężko mu przychodzi rozstać się z nim, a utrata takiego współpracownika jest dla niego ciosem szczególnie dotkliwym. Friedrich Krüger dowodził kolejno dywizją, a potem korpusem SS, grupą bojową złożoną z policjantów. W maju 1945 r. popełnił samobójstwo.



Piotr Zychowicz

Niemcy w brutalny sposób wypędzili z domów 110 tys. cywili. Dzięki heroicznemu oporowi Polaków operacja zakończyła się kompromitującą porażką SS

Odilo Globocnik, dowódca SS i policji w dystrykcie lubelskim, 22 listopada 1942 r. do swoich ludzi zwrócił się w ten sposób: „Osiedlenie następuje na bezpośredni rozkaz Reichsführera-SS. Ten rozkaz jest dla nas zobowiązaniem, które wykracza poza ramy normalnego wykonania rozkazu, gdyż Reichsführer-SS oczekuje od nas nie tylko formalnego wykonania jego woli, lecz tego, byśmy wszystkim przybyłym z różnych części Europy volksdeutschem zbudowali tutaj nową ojczyznę, dali zdrowe podstawy bytu i stworzyli warunki rozwoju przyszłych pokoleń.

Zabezpieczenie wszystkich zdobytych terenów na przyszłość zależy tylko od tego, czy człowiek niemiecki zapanuje korzenie w tej ziemi. Kto popełnia błąd lub zbyt lekko podchodzi do zadania, szkodzi niemieckiemu narodowi w jego przyszłym bycie, i takie postępowanie jest najcięższą zdradą naszych powinności. Dlatego od wszystkich biorących udział w akcji oczekuję wyjątkowej pracy i bezwarunkowego wykonywania zadań. Ja będę zawsze tam, gdzie zajdzie potrzeba pomocy. W dyscyplinie i we wzrastającym zaufaniu wykonamy rozkaz Reichsführera-SS”.

Rozkaz ten uruchomił straszliwą maszynę terroru, który spadł na ludność Zamojszczyzny. W ramach chorego planu rasowego przebudowania Europy Wschodniej postanowiono wyrzucić z tego terenu Polaków i sprowadzić na ich miejsce niemieckich osadników. Pierwsze przymiarki do tej operacji poczyniono już na początku 1941 r. Zachwycony pomysłem Reichsführer-SS Heinrich Himmler 1 lipca 1941 r. wydał zarządzenie wskazujące Zamojszczyznę jako „pierwszy obszar osiedleńczy w Generalnym Gubernatorstwie”. Jak napisała badaczka tego problemu Agnieszka Jaczyńska, w ten sposób miał powstać „bastion niemieckości”, punkt oparcia dla dalszej germanizacji Wschodu.



Szaleństwo „Aktion Zamość”

Do pierwszych próbnych wysiedleń Polaków doszło w listopadzie 1941 r. Ich ofiarą padło około 2 tys. cywili, których z niezwykłą brutalnością usunięto z domostw i rozproszono na terenie powiatu hrubieszowskiego. Zaskoczeni i przerażeni Polacy nie stawiali większego oporu i zachęceni tym „wielkim sukcesem” Niemcy zaczęli przygotowania do właściwych deportacji. Tym razem na znacznie większą skalę.

Do akcji Niemcy przystąpili 27 listopada 1942 r. W tajnych rozkazach biorącym

w nich udział funkcjonariuszom nakazano traktować Polaków z „niezbędną surowością”. Efektem podobnych instrukcji była prawdziwa eksplozja przemocy. Deportowani Polacy byli bici, katowani, dochodziło do zbiorowych mordów i pacyfikacji, w trakcie których polskie wsie puszczano z dymem.

Przerażonych mieszkańców pędzono do obozów przejściowych w Zamościu, Biłgoraju i Zwierzyńcu. W ośrodkach tych dokonywano selekcji. Część ludzi trafiła na roboty do Niemiec, część wypędzono na



Akcia wysiedlenia chłopów na Zamojszczyźnie – wszystkich, całymi rodzinami, nagle i bez dobytku

FOT. IPN

dokonywanych na nich eksperymentów pseudomedycznych i sadystycznych praktyk strażników.

POWSTANIE ZAMOJSKIE

Na początku pacyfikacji Zamojszczyzny Niemcy triumfowali. Szybko okazało się jednak, że tym razem operacja nie będzie przebiegała łatwo. Oprawcy mocno się przeliczyli...

„Polecam zorganizować przeciwalkę, która będzie prowadzona przez ludność dotkniętą wysiedlaniem oraz przez własne oddziały zorganizowane.

1. Ludność ma stawiać opór bierny i czynny. Palić zagrody, niszczyć dobytek opuszczony, tak żeby okupantowi zostały zgłiszczca. Nie pozwolić na dzielenie rodzin. Na bicie, gwałt i znęcanie się odpowiadać siekierą, widłami lub kłonicą. Bronić życia i mienia pazurami do ostateczności.

2. Akcję samoobrony ludności wyprzeć działaniem dywersyjnym oddziałów bojowych, które z zewnątrz atakować będą policję i władze administracyjne przeprowadzające wysiedlanie. Zlikwidować kierowników akcji wysiedlania. Zniszczyć zabudowania i dobytek. Osiedlonym Niemcom nie dać żyć”.

Powyższy rozkaz 24 grudnia 1942 r. wydał komendant Armii Krajowej gen. Stefan Grot-Rowecki. W efekcie na terenie Zamojszczyzny zaroilo się od oddziałów AK i Batalionów Chłopskich, zasilonych obficie rekrutem ze wsi zagrożonych wysiedleniem. Włościanie masowo uciekali bowiem do lasów, gdzie polskie formacje

niepodległościowe uzbrajały ich i wcielały do swoich szeregów.

Szybko do Berlina – sprawą poważnie zaniepokoił się sam Himmler – zaczęły napływać alarmujące meldunki. Informowano w nich, że niemieckie posterunki w terenie są regularnie atakowane przez uzbrojone „bandy”. Partyzanci wysadzają w powietrze tory kolejowe i mosty, blokują drogi, podpalają magazyny z zaopatrzeniem. Nękają niemieckie oddziały, które zapuszczają się zbyt daleko od koszar.

„Już podczas stawiania łańcucha zamykającego obławę zostaliśmy z lasu ostrzelani silnym ogniem z karabinów maszynowych i zwykłych – raportował wachmistrz policji ochronnej Scherzer. – Podczas akcji padł, jakieś 600 m na południe od wsi Wojda, od postrzału w brzuch, wachmistrz Eduard Krüger, żonaty, czworo dzieci”.

„Doszło do wymiany ognia pomiędzy plutonem strzelców z Kraśnika a bandytami w lesie Dzierzkowice – napisano w innym raporcie. – Został ranny dowódca plutonu wachmistrz Eberhard Täschner postrzałem w nos i pośladek. Pościg za bandą trwa”. W zdecydowanej większości przypadków pościg jednak nic nie dawał. Polacy rozpyliwali się w terenie, a Niemcy tracili kolejnych ludzi w pułapkach. Wkrótce sytuacja stała się wręcz katastrofalna. Niemcy po prostu stracili kontrolę nad sporą częścią Lubelszczyzny.

Cenę zapłacili za to osadnicy sprowadzeni z Besarabii, Bośni, Ukrainy, Serbii, ze Słowenii i z innych krajów. W sumie 13 tys. ludzi, których osadzono w odebranych Polakom domach. SS i policja nie były im w stanie zapewnić bezpieczeństwa. Ludzie ci znaleźli się w śmiertelnej pułapce. Chociaż wydano im karabiny, nie mogli stawiać oporu polskim oddziałom. W efekcie wiele wsi zasiedlonych przez Niemców, m.in. Nawóz, Siedliska, Udrycze, Janiówka czy Cieszyn, zostało spacyfikowanych. Wściekli na Niemców za popełnione przez nich wcześniej zbrodnie polscy partyzanci nikomu nie dawali pardonu. Zabijano nie tylko mężczyzn, lecz także kobiety i dzieci.

„Ogień za ogień, śmierć za śmierć! – napisano w »Biuletynie Informacyjnym« AK z lipca 1943 r. – Wieś cała stoi w tumanach dymu, w požodze. Mimo deszczu smugi ognia biją wysoko w górę, strzelając snopami iskier. Gdy na sygnał trąbki i rakiety rozpoczyna się odwrót, niektóre chaty walą się już w kupy żaru. Ogień zwycię-

Mazowsze, część wywieziono do obozów koncentracyjnych w Auschwitz i na Majdanku, małe dzieci o „aryjskich cechach rasowych” uprowadzono zaś do Rzeszy. Warunki w obozach i transportach urągały wszelkim cywilizowanym standardom, śmiertelność wśród wysiedlanych była niezmiernie wysoka.

Niemiecy oprawcy okazywali całkowitą pogardę dla życia Polaków. „Na zbiorce zobaczyłem człowieka, około 70 lat. Niemiec wstał zza stołu i zastrzelił tego starca bez żadnej przyczyny – wspominał Edmund Lotza, więzień obozu w Zwierzynku. – Jan Buczko przyniósł chleb dla głodnych mężczyzn na polu karnym. Zobaczył to wartownik z wieży i strzelił, zabijając mężczyznę dzielącego chleb. W czasie mojego pobytu w obozie zmarło ponad 100 osób”.

Najmniejsze szanse na przeżycie deportowani z Zamojszczyzny mieli jednak w Auschwitz. Spośród 1301 więźniów, którzy trafili do tego piekła na ziemi, przetrwało zaledwie 18 proc. Zmarli z wycieńczenia, chorób, na skutek



Obwieszczenie okupanta o karach śmierci za opór wobec Niemców FOT. ARCHIWUM



Ofiary pacyfikacji w jednej z zamojskich wsi

FOT. IPN

sko przewala się przez wieś. Nie istnieje już wieś Huszczka w Zamojszczyźnie. Zginęło 30 Niemców, 50 padło rannych. Postrach poszedł po wszystkich okolicznych wsiach, rojących się od zbrojnych osadników niemieckich. Niech wiedzą, co to jest odwet”.

NIKT NIE SIAŁ ZIARNA

Na początku 1943 r. rozpoczęła się tzw. Ukraineraktion. Była ona de facto przyznaniem się do klęski projektu zniesienia Zamojszczyzny. Do części wysiedlonych polskich wsi zaczęto bowiem sprowadzać osadników... ukraińskich. Mieli oni stworzyć bufor zabezpieczający niemieckich kolonistów przed Polakami. W ten sposób Niemcy wywołali krwawy konflikt polsko-ukraiński. Polskie podziemie traktowało bowiem ukraińskich osadników tak samo jak osadników niemieckich. Decyzję taką podjęto też dlatego, że ukraińska policja, z niezwykłym okrucieństwem, brała udział w deportacjach Polaków.

„Do pierwszego ataku polskich oddziałów na ukraińskie domy w powiecie hrubieszowskim – mówił historyk IPN Mariusz Zajączkowski – doszło już w końcu stycznia 1943 r. (Strzelce). Następny miał miejsce pod koniec marca (Pasięki). Szersze wystąpienia antyukraińskie odnotowano w maju 1943 r., kiedy polscy partyzanci spalili w całości lub częściowo kilka wsi zamieszkałych przez ludność ukraińską (Mołozów, Tuchanie, Strzelce, Żulice, Nabród), zabijając w sumie około 60 ukraińskich cywili”.

W tej małej wojnie domowej między Polakami a Ukraińcami zginęło po 1,5 tys. cywili po obu stronach. Również Niemcy nasilili represje. „Jeżeli będzie to konieczne – pisał Himmler – należy wytepić całe polskie wsie”. W odpowiedzi na podobne działania 4 sierpnia 1943 r. nowy komendant AK gen. Tadeusz Bór-Komorowski wydał oddziałom działającym na Zamojszczyźnie rozkaz nasilenia akcji odwetowych. Ich celem była „likwidacja osób, które w czasie pacyfikacji wyróżniły się bestialstwem i gorliwością w mordowaniu, gnębieniu i ściganiu ludności polskiej. Uderzenie na wsie i osady niemieckich kolonistów, których mieszkańcy brali udział w pacyfikacji”. „Bór” niemieckie wsie kazał „spalić, a mieszkańców wyciąć w pień”.

Nieprzemysłana akcja SS spowodowała, że do tej pory względnie spokojna część Zamojszczyzny zamieniła się w jedno wielkie pole bitwy. W efekcie Niemcy musieli skierować tam spore siły, które były niezbędne gdzie indziej. Wehrmacht oskarżył SS o dezorganizowanie tyłów armii walczących na froncie wschodnim. Największą krytykę pacyfikacja Zamojszczyzny wywoływała jednak w niemieckiej administracji cywilnej. Jako pierwszy zaczął protestować gubernator dystryktu lubelskiego Ernst Zörner wspierany przez szefa swojego departamentu gospodarczego dr. Klause. Alarmowali oni, że deportacje Polaków wywołały katastrofę ekonomiczną. Dystrykt lubelski uznawany był bowiem za spichlerz Generalnego Gubernatorstwa. Teraz zaś nie było mowy o tym, żeby ściągnąć kontyngenty płodów rolnych ze sporej jego części. Chłopi i partyzanci spalili młyny, stodoły i chlewy,

wyrzneli bydło, aby nie dostało się w ręce Niemców. Nikt oczywiście nie siał ziarna, bo chłopi tworzyli w lasach oddziały samoobrony.

„Według opinii fachowców – napisano w jednej z analiz – powiat zamojski, który ze względu na swoją pierwszorzędną ziemię mógłby być terenem nadwyżek rolniczych, staje się terenem, do którego trzeba będzie dokładać”. Niemieccy urzędnicy z terenu zaczęli pisać listy do samego Führera, w których domagali się wstrzymania „zbrodniczej wobec interesów III Rzeszy” akcji wysiedleńczej. Generalny gubernator Hans Frank szalał z wściekłości. Uważał bowiem, że Himmler po raz kolejny „wsadza nos w nie swoje sprawy” i dezorganizuje podległe mu terytorium, a wysiedlenia na Zamojszczyźnie rozpoczęto bez pytania go o zdanie. Poza tym nadzorujący je szef policji i SS na terenie gubernatorstwa Friedrich Wilhelm Krüger był jego osobistym wrogiem. Na jednym z posiedzeń rządu gubernatorstwa Krüger musiał przyznać, że jego działania były „nie do końca przemyślane” i przyniosły skutek odwrotny do zamierzonego. Frank poszedł wówczas za ciosem i wspierany przez – na ogół wrogiemu mu – Goebbelsa wymógł dymisję Krügera (nie była to jego pierwsza wpadka) i Globocnika.

Akcja wysiedleńcza na Zamojszczyźnie została wstrzymana w sierpniu 1943 r. Spowodowała ona nie tylko nieopisane cierpienia polskiej ludności cywilnej – samych dzieci Niemcy zamordowali 10 tys. – lecz także spustoszenie regionu.

Z 293 wsi deportowano 110 tys. ludzi. Z wielu miejscowości pozostały jedynie zgłiszczka. Całkowicie zdewastowana została infrastruktura, a bydło wytrzebione. Do końca wojny Niemcy nie byli w stanie pokonać licznych oddziałów partyzanckich i spacyfikować zwykłych grup rabunkowych, które pojawiły się w terenie.

Przerażeni osadnicy masowo opuszczali „swoje” nowe domy. Od wiosny 1944 r. rozpoczęła się już masowa akcja ewakuacyjna zorganizowana przez władze niemieckie. W lipcu 1944 r. z regionu wyjechali ostatni Niemcy. Akcja wysiedleńcza na Zamojszczyźnie zakończyła się spektakularną katastrofą, co uznano w Berlinie za całkowitą kompromitację Heinricha Himmlera i całego podległego mu aparatu terroru. W efekcie deportacje te okazały się nieudaną próbą wprowadzenia w życie zbrodniczego Generalnego Planu Wschodniego, który zakładał germanizację tej części Europy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Żołdacy z pułku SS „Dirlewanger” w akcji przeciw obrońcom Woli FOT. WIKIPEDIA

Męczeństwo miasta



Maciej Rosalak

Niemcy pędzili warszawiaków wraz z dziećmi przed czołgami i palili żywcem. Mordowali i gwałcili kobiety...

Zuzanna Biesiadecka mieszkała na Woli przy ulicy Górczewskiej 17. W sierpniu 1944 r. miała pięć lat. Wspomina: „Niemcy wypędzają nas z domu, a także wszystkich sąsiadów. Stało się to wszystko jakoś niezmiernie szybko. Widzę Niemców przed domem w hełmach i porozpinanych mundurach, wściekłych i spoconych, wrzeszczących strasznie w tym ich twardym języku. Pędzą gdzieś ludzi i popychają ich koltanami karabinów. Ulica Górczewska płonie, idziemy korytarzem ognia, po obu stronach leżą ludzie. Śpią. Dlaczego śpią w takich dziwnych pozach? Dlaczego niektórzy są okrwawieni i dlaczego wzdymają im się brzuchy? Słysząc wrzask Niemców i strzały. Z przodu i z boku ciągle ktoś pada. I zasypia. Przechodzimy

przez jakiś wąski wyłom w murze. Tuż przed nim upadł kaleki chłopiec. Kule wypadły mu z rąk. Brutalnie poganiani ludzie deptają po nim, nie zważając na krzyk rozpacz. Nagle czuję jakiś spokój. Niemcy ustawiają nas pod ścianą. Widzę, jak mama przytula braciszka do swojej twarzy. Ojciec mocno ściska mnie za rękę. Podjeżdża Niemiec na motorze, coś wrzeszczy – oni ciągle tak strasznie wrzeszczeli. I pędzą nas dalej...”

Ludzi wypędzonych z jej domu trzy razy ustawiano do rozstrzelania. Dlaczego oni przeżyli, gdy wcześniej na tej ulicy Niemcy mordowali niemal wszystkich? Może akurat zabrakło im kul – na co skarżył się sam SS-Gruppenführer Heinrich Reinefarth, dowódca specjalnej grupy pacyfikacyjnej SS i policji? Może wniosek z tego wyciągnął kierujący niemiecką odsieczą dla hitlerowskiego garnizonu warszawskiego SS-Obergruppenführer Erich von dem Bach-Zelewski, bo 5 sierpnia zakazał mordowania kobiet i dzieci? Rozkaz ten zresztą był śmiechu warty, bo Niemcy niemal w ogóle go nie respektowali, podobnie jak wydanego 12 sierpnia zakazu mordowania mężczyzn-cywilów, a 3 września – wziętych do niewoli powstańców. Mordowali, palili, rabowali

i gwałcili podczas wszystkich 63 dni trwania powstania warszawskiego.

WYROK NA MIASTO

Wyrok na Warszawę wydał sam Adolf Hitler. Brzmiał on (wedle powojennych zeznań Bacha): „Każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców. Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony zastraszający przykład dla całej Europy”. Führer – rozwścieczony dodatkowo ofensywami wrogów na zachodzie i wschodzie oraz przeprowadzonym 10 dni wcześniej zamachem na własne życie – podzielał sadyistyczną euforię Reichsführera SS Heinricha Himmlera. Wybuch powstania uznał on za okazję do rozprawienia się nareszcie z niepokornym miastem i dokończenia rzezi elity polskiego narodu. Zadanie zorganizowania odsieczy dla warszawskiego garnizonu powierzył 1 sierpnia Himmlerowi (a ten Bachowi) oraz szefowi sztabu generalnego Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych (OKH) gen. Heinzowi Guderianowi. Ten przedstawił „rycerskiego” Wehrmachtowi zapewnień generalnego gubernatora Hansa Franka, że „z całą bezwzględnością zostanie wydany wyrok na to miasto”. Dla dowódcy brygady nie-

mieckich kryminalistów SS-Oberführera Oskara Dirlwängera ów wyrok przybrał postać karteluszką z napisanym ołówkiem ręką Himmlera rozkazem: „Zabijać, kogo zechce, według swego upodobania”.

Mieszkańcy stolicy ginęli latem 1944 r. wskutek niemieckich bombardowań z ziemi i powietrza, straszliwych warunków życia, często bez jedzenia, wody i pomocy lekarskiej. Szacuje się, że tak straciło życie dwie trzecie spośród 180 tys. zabitych warszawiaków. Innych zamordowali Niemcy i ich kolaboranci ze ZSR: rozstrzelując, pędząc jako „żywe tarcze” na barykady, paląc żywcem, tłukąc kolbami i buciurami, roztrzaskując o mur główki dzieci, zamęczając na śmierć gwałcone kobiety.

Cywilni mordowano od 1 sierpnia na rozkaz gen. Reinera Stahela, który jako dowódca garnizonu warszawskiego miał prawo „zastosować wszelkie środki w stosunku do ludności cywilnej w Warszawie konieczne dla utrzymania spokoju, bezpieczeństwa i porządku”. Rozstrzeliwano między innymi warszawiaków z ulic Powązkowskiej w Forcie Bema, Racławickiej i z okolic w Forcie Mokotowskim, z ulicy Flory w kazamatach na Szucha.

Następnego dnia w be-stialski sposób zabito kilkunastu kapłanów i braci zakonnych oraz ponad 20 cywili – w tym osiem kobiet i 10-letniego chłopca – ukrywających się na terenie jezuickiego Domu Pisarzy przy ulicy Rakowieckiej 61. Świadkowie zeznawali, że SS-manom z koszar przy Rakowieckiej (Stauferkaserne) towarzyszył inny 10-letni chłopiec – z niemieckiej rodziny – który wskazywał oprawcom tych Polaków, którzy dawali jeszcze oznaki życia: „Jego dziecięcy głos rozlega się co jakiś czas. »Achtung! Der lebt noch! O hier, hier, er atmet noch!«. Za ruchem jego rączki idą SS-mani, a potem rozlega się seria, której towarzyszy dziecięcy śmiech i klaskanie w ręce”.

Mokotów i południowe Śródmieście doznały metodycznej rzezi. To stąd spędzano mieszkańców i rozstrzeliwano ich w Stauferkaserne, przy komendzie policji na Dworkowej, na terenie więzienia mokotowskiego, w Alejach Ujazdowskich (w dawnej siedzibie GISZ), na Szucha. Stąd gnano „żywe tarcze” na barykady w rejonie placu Zbawiciela.

Po 3 sierpnia przyszła pacyfikacja Ochoty, gdzie hordy byłych obywateli ZSR z brygady RONA SS-Brigadeführera Bronisława Kamińskiego pozbawiły życia niemal 10 tys. warszawiaków. Ulice Grójecka, Korzeniowskiego, aleja Niepodległości, Instytut Radowy przy Wawelskiej spłynęły krwią. Ludzi spędzano głównie na „Zieleniak” przy ulicy Banacha. Pijani ronowcy grabili tam wypędzonych oraz wyciągali z tłumu młode kobiety i dziewczęta, które gwałcili na terenie targowiska lub w pobliskim Liceum im. Hugona Kołłątaja. Niejednokrotnie strzelali do osadzonych dla rozrywki.

Podczas powstania codziennie ginęły setki i tysiące mieszkańców. Najstraszliwsze chwile czekały ich po opuszczeniu kolejnych rejonów miasta przez powstańców, kiedy dostawali się w łapy rozjuszonego żołdactwa niemieckiego

go i (byłego) sowieckiego. Tak było na przełomie sierpnia i września na Starym Mieście, pod koniec września na Powiślu i Marymoncie, na Czerniakowie i na Mokotowie. Jednak wcześniej wróg zdobył Wolę...

Liczne relacje z rzezi Woli, która trwała w pierwszej dekadzie sierpnia, zebrał

PCK już jesienią 1944 r. Szczególnie wstrząsające jest świadectwo Wandy Lurie, którą wraz z trójkiem dzieci wyprowadzono na miejsce straceń w fabryce Ursus.

„Wybierano nas i ustawiano czwórkami i czwórkami prowadzono w głąb drugiego podwórza, do leżącego tam stosu trupów – wspominała pani Lurie. – Gdy czwórka dochodziła do stosu, strzelali z rewolwerów z tyłu w kark. Zabici padali na stos, podchodzili następni. Przy ustawianiu ludzie się wrywali, krzyczeli, błagali, modlili się... Ja byłam w ostatniej czwórce. Błagałam otaczających nas Ukraińców, aby mnie i dzieci ocalili. Pytali, czy ja mam się czym wykupić. Miałam przy sobie znaczną ilość złota i to im dałam. Wzięli wszystko, chcąc mnie wyprowadzić, jednak kierujący egzekucją Niemiec, który to widział, nie pozwolił im na to. A gdy błagałam, całowałam go po rękach, odpychał mnie i wołał: »Prędziej«. Popchnięta przez niego przewróciłam się. Uderzył też i pchnął mojego starszego synka, wołając: »Prędziej, prędzej, ty polski bandyto«.

W ostatniej czwórce, razem z trójkiem dzieci podeszłam do miejsca egzekucji, trzymając prawą ręką dwie rączki młodszych dzieci, lewą – rączkę starszego synka. Dzieci szły, płacząc i modląc się. Starszy, widząc zabitych, wołał, że nas zabijają, i wzywał ojca. Pierwszy strzał położył starszego synka, drugi ugodził mnie, następne zabiły młodsze dzieci... Kula trafiła [mnie] w kark z lewej strony, przeszła przez dolną część czaszki i wyszła przez policzek. Wyplułam kilka zębów... Czułam odrętwienie lewej części głowy i ciała, byłam jednak przytomna i widziałam wszystko, co się dzieje dookoła... Wprowadzono dalsze partie mężczyzn; słychać było krzyki, błagania, jęki, strzały... Trupy tych mężczyzn waliły się na mnie – leżało na mnie czterech mężczyzn. Po tej grupie widziałam jeszcze partię kobiet i dzieci – tak grupa za grupą aż do późnego wieczora... W przerwach oprawcy chodzili po trupach, kopali, przewracali, dobijając żywych i rabując kosztowności. Mnie zdjęli z ręki zegarek; bojąc się, nie dawałam znaku życia. Oni ciała nie dotykali rękami, tylko przez jakieś specjalne szmatki. W czasie tych okropnych czynności śpiewali i pili wódkę”.

Nikt już nie policzy, ile było ofiar rzezi Woli – 30, 40, a może 50 tys. Na ulicy Wolskiej rozstrzeliwano w 20 miejscach. Oto niektóre z nich: Wolska 2/4, Szpital św. Łazarza – 700 zamordowanych, Wolska 43/45, Fabryka Franaszka – 3 tys. zamordowanych, Wolska 55, fabryka Ursus – 5 tys. zamordowanych, Wolska 105/109, Domy Hankiewicza – 2 tys. zamordowanych. Zabijano chorych i lekarzy, dzieci z sierocińca, harcerzy, księży i zakonnice. Nie było litości dla kobiet w ciąży.

Zapłonęły na ulicy Wolskiej stosy ciał ofiar zbrodni. Później Niemcy kazali spędzonym Polakom zakopać prochy pomordowanych. Według sprawozdań PCK na Woli zebrano po zakończeniu wojny osiem ton prochów zamordowanych. Liczba ta nie obejmuje niezważonych prochów z fabryki Ursus i Fabryki Franaszka, gdzie zamordowano po kilka tysięcy ludzi.

WIELKA GROZA

Podczas dwumiesięcznych walk oddziały powstańcze odniosły duże straty (10 tys. poległych oraz 6 tys. zaginionych, których należy uznać za zabitych). Rannych zostało około 20 tys. powstańców – w tym 5 tys. ciężko. Do niewoli trafiło blisko 15 tys. żołnierzy.

Jeńców mordowano, jeszcze zanim Hitler wydał rozkaz zniszczenia miasta. Byli



Odznaka kolaboracyjnej RONA

FOT. ARCHIWUM



Sanitariuszka i żołnierz AK z pięknego i najbardziej dotkniętego przez los pokolenia w naszych dziejach

FOT. LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

to na ogół ranni. Tak 1 sierpnia stracili życie żołnierze z kompanii por. „Kosmy”, biorący udział w tragicznym ataku na siedzibę Sipo w alei Szucha, zaskoczeni przed zajęciem pozycji wyjściowych na Woli AK-owcy ze zgrupowań poruczników „Ostoi” i „Gromady”, uczestnicy nieudanego ataku na niemieckie punkty oporu przy ulicy Rakowieckiej. Taki los spotkał także żołnierzy usiłujących zająć mosty Poniatowskiego i Kierbedzia, Fort Mokotów, tor wyścigów konnych na Służewcu i lotnisko Okęcie. SS-mani, kolaboranci oraz żołnierze Wehrmachtu mordowali ujętych powstańców na Mokotowie, Ochocie, Woli i – w miarę zdobywania kolejnych rejonów miasta – na Starówce, Powiślu, Marymoncie, Czerniakowie, Mokotowie i Żoliborzu.

Straszliwy los spotkał na przełomie sierpnia i września rannych ze szpitali powstańczych na Starym Mieście, m.in. w centralnym szpitalu powstańczym w Pałacu Raczyńskich przy ulicy Długiej 7 (około 430 ofiar), w szpitalu Pod Krzywą Latarnią przy ulicy Podwale 25 (około 100 ofiar), w szpitalu Czarny Łabędź przy ulicy Podwale 46 (blisko 30 ofiar), w szpitalu przy ulicy Kilińskiego 1/3 (około 50 ofiar). Wspominała Kamila Merwartowa: „Niemcy i Ukraińcy wpadają do szpitala powstańczego... Jak by było zaczęli kopać i bić rannych leżących na ziemi, wyzywając ich od skurwysynów i polskich bandytów... Biedakom leżącym na ziemi roztrzaskiwali bucioremami głowy, rycząc przy tym

okropnie, kopiąc i waląc, gdzie tylko mogli. Krew i mózgi nieszczęsnych bryzgały na wszystkie strony”.

W trzeciej dekadzie września ostatni żołnierze batalionu „Zośka” walczyli na Czerniakowie. Tych, którzy nie zeszli do kanałów lub nie rzucili się w pław przez Wisłę, ujęli i rozstrzeliwali na miejscu bandyci Dirlwängera. Świadkiem tego był między innymi Andrzej Wolski „Jur”, który opowiadał mi o tym po latach. Przeżył dzięki interwencji jakiegoś łącznikowego oficera, który wrzaskiem przypomniał o uznaniu powstańców za kombatantów.

Życiem przyptacili omyłkę nieszczęśnicy, którzy podczas ewakuacji Mokotowa pod koniec września wyszli z kanałów przy ulicy Dworkowej, na terenie opanowanym przez Niemców. Pierwszego z nich natychmiast zastrzelono, a innym po przesłuchaniu kazano kłęknąć na brzegu urwistej skarpy z rękami podniesionymi do góry. Kiedy jeden z nich nie wytrzymał napięcia i z okrzykiem: „Nie dajmy się zarżnąć jak barany!” chwycił za karabin najbliższego Niemca, a kilku innych spróbowało ucieczki, wszystkich 150 rozstrzelano. Rannych dobijano. Kolejnych 30 wyszło przez sąsiedni właz i też ich zamordowano. Trupy spychano w dół, do jeziora zwanego Morskim Okiem. Znam relację pletwonurków, którzy po latach zeszli tam pod wodę. Mówili, że nigdy wcześniej nie czuli takiej grozy...

Anglosasi uznali powstańców za kombatantów dopiero 30 sierpnia (!). Niemcy

uczynili to parę dni później, po utopieniu we krwi Starego Miasta. Jednak żołnierze Armii Krajowej od początku spełniali kryteria konwencji haskiej obowiązującej od 1907 r.:

„Art. 1. Ustawy, prawa i obowiązki wojenne stosują się nie tylko do armii, lecz również do pospolitego ruszenia i oddziałów ochotniczych, o ile odpowiadają one warunkom następującym:

- 1) jeżeli mają na czele osobę odpowiedzialną za swych podwładnych;
- 2) noszą stałą i dającą się rozpoznać z daleka odznakę wyróżniającą;
- 3) jawnie noszą broń;
- 4) przestrzegają w swych działaniach praw i zwyczajów wojennych.

W tych krajach, gdzie pospolite ruszenie lub oddziały ochotnicze stanowią armię lub wchodzą w jej skład, nazwa armii rozciąga się na nie”.

Każde określenie pasowało do Armii Krajowej, która wystąpiła do walki jako Wojsko Polskie.

Cytowana na początku Zuzanna Biesiadecka mówiła: „Obrazy tamtych wydarzeń widzę dokładnie, jak widziałam je wówczas. Szczególnie wyraźnie widzę je w snach. W nich przychodzą do mnie umarli i żywi. Sąsiedzi z Woli. Ci, którzy spali na gruzach i ulicach, wstają powoli, otrzępują się z pyłu i machają do mnie ręką. Ja też unoszę rękę i odpowiadam na pozdrowienia. A potem się budzę i już nie mogę zasnąć aż do świtu”.